

Z PRZYMRUŻENIEM OKA cz. 3

Migawki z podróży.

Msza na Równiku.

Gdybyśmy przewiercili glob ziemski na wylot, widzielibyśmy podeszwy (albo bose stopy) ludzi chodzących do góry nogami, chociaż oni to samo powiedzieliby o nas. Choć ten glob jest ogromny, zawsze w wyobraźni możemy jak piłkę wziąć go w dłonie i ofiarować Bogu. Moja wyobraźnia pracowała jednak szczególnie intensywnie na Równiku. Płynąc statkiem do Argentyny, wykorzystywałem do Mszy świętej maleńką kabinę pilota, w niej też tak zaplanowałem godzinę Mszy, że w chwili gdy syrena statku obwieszczała Równik, cały glob „pode mną” ofiarowałem Bogu. Był to pierwszy miesiąc mojego kapłańskiego życia, więc jako nowicjusz reagowałem na wszystko tak a nie inaczej. Dzisiaj nie potrzebuję Równika, by czynić to samo, wciąż pamiętając o tym, że Bóg Ojciec przy swoim objawieniu się siostrze Eugenii Ravasio tulił do swego serca kulę ziemską wraz ze wszystkimi ziemskimi dziećmi. Oby tylko te dzieci chciały z miłością przytulić się do Jego serca!

Turysta bładzioszek pod Równikiem.

W seminarium od wiosny nie było czasu na opalanie się! Wyruszając statkiem na południową półkulę liczyłem na to, że na Atlantyku opalę się na Indianina, ale szybko zorientowałem się, że nic z tego nie będzie: słońce mocno grzało, ale to chyba parujący ocean pochłaniał część jego światła. Gdy znalazłem się więc w pierwszym porcie, w Recife, i w charakterze turysty wyruszyłem do miasta, obległa mnie od razu czereda dzieciaków z wyciągniętymi rękami i nadzieją w oczach. Nie miałem co im dać, więc schowałem się na statek i zacząłem kombinować, jakby tu wtopić się w tłum. Ubiorem się nie różniłem. Może to mój długi nos...? Przecież go nie skrócę. Wreszcie przemówiło lustro: wyglądasz jak młynarz przy pracy! I co z tego – przecież się nie opalę... Już wiem! – zaświtał mi w głowie dobry pomysł: przecież w mesie pasażerskiej w szafce jest kakao... Z czym je wymieszać...? Jest olejek do opalania! Przystąpiłem do pracy, pokrywając twarz, a chyba trochę i inne odsłonięte części ciała, takim właśnie mazidłem. Cuchnęło na odległość, ale za to w oczach zbrązowiałem i z dumną miną wyruszyłem do miasta. Uff jak gorąco, pot zaczął spływać mi po twarzy, ale bałem się jej dotknąć, wiadomo czemu. W pewnej chwili stanąłem przed wystawą sklepową, działającą jak lustro, i... zbaraniałem! Zobaczyłem odbicie swojej twarzy z białymi poprzecznymi zmarszczkami na czole i z innymi białymi smugami na drodze spływającego potu! Chyba nie muszę opisywać, z jakim wstydem na twarzy i z jaką szybkością zwiewałem na statek, żeby się umyć i znowu stać się, niestety, turystą prosto z młyna...

Astronomiczne odkrycie.

Nauczyłem się już rozpoznawać na niebie Krzyż Południa i poczułem na własnej skórze żar zimowego słońca (u nas wakacje, ale nasze polskie lato było u nich zimą), ale to było niewiele. Z ruską kamerą w ręku (film o szer. 6 mm, nakręcana na sprężynie) mogłem czuć się prawdziwym turystą, gdyż ponad 50 lat temu nikt tam niczego nie filmował. Piękne pałacyki wśród palm przykuwały moją uwagę i chciałem sfilmować jeden z nich, ale przeszkadzał mi cień, więc poszedłem dalej z tą myślą, że w drodze powrotnej będę miał pięknie oświetlony fronton. Jednak gdy wracałem, było wprost przeciwnie: cały schował się w cieniu... Zacząłem kombinować i przyglądać się drodze słońca, aż mnie olśniło: przecież znajduję się na południowej półkuli, więc i słońce wędruje po niebie od ręki prawej do lewej! Tyle lat nauki, geografia w szkole, a trzeba było przebyć ponad 10 tysięcy kilometrów, żeby zderzyć się bezpośrednio z tak oczywistym faktem!

Staroświeckie łożo w klasztorze?

Długi załadunek statku w Rio de Janeiro stworzył możliwość, by na kilka dni oddalić się od niego i zawitać do Sao Paulo. Trafiłem do klasztoru benedyktynów i tam, w użyczonym mi pokoju, próbowałem zanurzyć się w upragnionej ciszy i kontemplacji. Nadeszła noc, pora iść spać. Zdziwiło mnie, że mam tam ogromne łożo, obwieszane ze wszystkich stron nie zasłonami (bo po co by były?), lecz białymi firankami! Wyglądało mi ono na mebel dawnych magnatów w ich zamkach, widziany na

filmach. Zarzuciłem więc firankę na górną ramę i spokojnie zamknąłem oczy. Prawie natychmiast coś mi zaczęło łązić po twarzy...! Zerwałem się i zdębiałem: oto pokój, do tej pory pusty, napełnił się komarami. Okno było zamknięte, więc pewno dostały się pod progiem. Gdy tak stałem bezradnie, spojrzałem na te firanki i olśniło mnie: durniu, przecież to jest moskitiera! Musiałeś przejechać pół świata, żeby sobie to skojarzyć: mosquito to właśnie po hiszpańsku komar, i od niego ta nazwa! Rzuciłem się więc do akcji: opuściłem firankę i jakoś z trudem uśmierciłem maleńkich napastników nad „królewskim” łóżem, by spokojnie zasnąć. Gdy dzień zaświtał, w całym pokoju nie było ani jednego komara – gdzieś się ulotniły...

W towarzystwie marynarzy.

Czułem się w tej podróży bardzo samotny, nie mając z kim wyruszać na zwiedzanie portów. Próbowalem więc zbliżyć się do marynarzy, ci jednak... nie czuli potrzeby zbliżenia się do mnie. Gdy podczas obierania ziemniaków w kuchni zaproponowałem im udział we Mszy świętej w najbliższą niedzielę, popatrzyli na mnie przerażeni i w milczeniu pospuszczali głowy – nie mogli sobie wyobrazić siebie w tej roli. Pominę tematy rozmów z nimi, natomiast „pochwałę się” tym, że w Hamburgu zaprowadzili mnie na „targ prostytutek” (bogatsze miały swoje kioski, a biedniejsze stały w wielkim kręgu), a w portach Brazylii szliśmy do tych burdeli, w których mogli za wielką sumę sprzedać najtańsze polskie perfumy (oczywiście zachwalane jako „marka europejska”), z rozkoszną miną wypuszczając kroplę na własną rękę, a potem na rękę przywoływanych pięknych pań. Te transakcje pozwalały im na obfite zaopatrzenie się w „ognistą wodę” (a może w „mleko od wściekłej krowy”?), w dni wolne od wachty mieli czym się raczyć. W ich życie intymne nie wnikałem, nie chwalili się nim, natomiast musiałem jako ksiądz udawać – bo cóż mogłem zrobić – że nie widzę, jak w drodze przez Atlantyk bosman (czyli drugi po kapitanie) poderwał jedną z pasażerek i chodzili ze sobą jak naprawdę zakochana para.

Półtora miesiąca na statku to dużo! Drobnicowiec zawijał do portów po towar, a 12 pasażerów musiało żyć własnym życiem. Nie umiałem przyzwyczaić się do wibracji kadłuba i słodkiego zapachu spalin, tęskniłem za świeżym powietrzem. Ponieważ pogoda zwykle była piękna, pewnej nocy wpadłem na pomysł, żeby przenocować pod gołym niebem. Bez pytania pożyczyłem sobie plandekę, którą przykryto zwinięty trap (sznurową drabinę), i zawiesiłem ją na linie nad ładownią, jakby była hamakiem. Poduszka do środka i... dobranoc! Po jakimś czasie nagle zacząłem w swoim „hamaku” unosić się do góry! Wiedziałem, że to żart marynarzy, ale zacząłem zastanawiać się czy mnie opuszczają, bo inaczej bym z tej plandeki nie wylazł. Na szczęście włączyli wyciągarkę raz i drugi, pobujali mnie i dali spokój. Gdybym ich spotkał w Niebie, byłoby się z czego pośmiać, ale obawiam się, że te fajne chłopcy mogły jeszcze do niego nie dojść. Na szczęście Ty, sprawiedliwy Boże, mieszasz dobry humor jako nasz idealny Ojciec, więc kto wie, czy i z tym Czyśćcem nie bywa różnie... Proszę więc, zlituj się i weź ich do Nieba, gdzie masz tyle pięknej wody – rzeki, jeziora, morza – to przecież ich żywioł.

W roli poligloty...

Prawie wcale, poza łaciną i rosyjskim, nie znając języków obcych, musiałem jednak jakoś się porozumiewać. Tak więc w Hamburgu udawałem znawcę francuskiego (Niemcy rozkładali bezradnie ręce), a w Brazylii hiszpańskiego, jednak w tym drugim wypadku... zostałem rozszyfrowany! Jakoś dogadałem się w którymś z portów, może był to Santos, że nie mogę wieczorem w tym kościele odprawić Mszy świętej, ponieważ zaraz ma być „casamiento”. Nie znałem tego słowa i okazałem to po sobie, co wywołało ogromne zdumienie mojego rozmówcy, chyba zakonnika: „Jak to, jesteś księdzem katolickim i twierdzisz że znasz hiszpański, a nie rozumiesz co to casamiento?!” Po tych słowach wykonał gest podawanych sobie dłoni i wsuwania na palec obrączki. Do dzisiaj pamiętam, jak głupio się wtedy czułem!

Przed podróżą, jeszcze jako kleryk, zdążyłem liznąć trochę hiszpańskiego, co miało się bardzo

przydać. Przewidziałem kilka pytań, z którymi mogę się spotkać, więc w Polsce zajrzałem do słownika. Gdy w towarzystwie Polaków znaleźliśmy się w pięknym argentyńskim Bariloche i czekaliśmy, aż nad ogniem upiecze się pół krowy (tzw. asado), wywiązała się rozmowa, z której niczego w zasadzie nie rozumiałem. Jednak w pewnym momencie zauważono mnie i o coś zapytano, nie pamiętam już o co. Wykorzystałem tę sytuację, by wykrztusić z siebie tylko jedno zdanie wcześniej „przećwiczone”: mój ojciec ma pasiekę, w której znajduje się trzydzieści uli. Dwa słowa hiszpańskie rzadko używane: pasieka i ule (un abejar a treinta colmenas) spowodowały, że wszyscy spojrzeli na mnie nagle z podziwem jako na doskonałego znawcę ich języka!

W podobny sposób, przy użyciu tylko jednego słowa, wyszedłem na wytrawnego znawcę rosyjskiego. A było to tak. Taksówkarz wiozł mnie z Brześcia do parafii, w której spodziewałem się zastać na odpuście polskiego księdza. Próbowalem z nim rozmawiać. W drodze wykonał manewr wyprzedzania, podczas gdy z naprzeciwka nadjeżdżał samochód, z którym o włos się nie zderzyliśmy. Zawołałem z oburzeniem: „Wot *matadiec!* Chcesz ubić mienia!” Jest to słowo powszechnie używane, ale tylko Rosjanie znają jego różne odcienie znaczeniowe, zależne od okoliczności, więc użycie go przez Polaka sprawiło taksówkarza w osłupienie...

Język francuski opanowałem na tyle, że mogę czytać książki teologiczne, ale gdy dochodzi do rozmowy z kimś, choćby o pogodzie, brak mi podstawowych słów i zwrotów. Gdy więc w czasie półtoramiesięcznego pobytu we Francji, w Ogniskach Miłości Marty Robin, starałem się o przyjęcie i powierzenie mi prowadzenia w Polsce rekolekcji na ich zasadach, poddano mnie bacznej obserwacji. W kuchni się nie sprawdziłem, gdyż obrane przeze mnie marchewki musiano poprawiać, ale najgorzej było przy spotkaniach na schodach i w korytarzach: mijałem członków wspólnoty wyłącznie ze słowem „bązur” czyli „dzień dobry”, gdyż zawsze brakowało mi słów, by wdać się w rozmowę. Osądzono mnie w efekcie, że jestem „riżid” czyli sztywniak, surowy, oschły i nieprzystępny. Za to przy stole żartowałem z dwoma jak ja kandydatami z Afryki, np. chowając któremuś talerz czy robiąc pocieszne miny, tak że tam mówiono o mnie „kokę” czyli „kogucik”, co może znaczyć wesołek, żartowniś, kawalarz. Gdy już mój czas się kończył i miano mnie odprawić, rada wspólnoty nie wybrała złotego środka między żartownisiem a ponurakiem, lecz opowiedziała się za tym drugim określeniem i to mi oznajmiono: taki człowiek, naszym zdaniem, nie nadaje się na ojca i przewodnika wspólnoty świeckich, poświęcającej się prowadzeniu rekolekcji. Już potem zorientowałem się, że starając się o przyjęcie, robiłem tam prawie wszystko w taki sposób, by mnie nie przyjęli. Jak wspomniał jest Bóg, który prowadzi nas drogami nam nieznanymi, by swoje przeprowadzić! Teraz widzę, jak potwornym błędem byłoby moje związanie się z tą wspólnotą i jak bardzo przeszkodziłoby mi to w zrealizowaniu mojego powołania.

Narciarz na lodzie.

Gdy w roku 1970 znalazłem się w Patagonii, na południu Argentyny, zmierzając w kierunku gór, zaczynała się tam wiosna. Śniegu już nigdzie nie było, więc miejscowi narciarze oblegali ostatnią górę, na której zboczu utrzymał się on jeszcze w ciepłych promieniach słońca. Przyjaciele zaproponowali mi wypożyczenie nart na szczycie i dołączenie do zjeżdżających, co przyjąłem z entuzjazmem. Góra nie była wysoka, raczej dostosowana do moich możliwości, więc ruszyłem na start, lecz natychmiast ogarnęło mnie przerażenie: to, co z daleka wydawało się śniegiem, z bliska okazało się lodem! Był on do tego stopnia nierówny, że nie wyobrażałem sobie, jak na nim można kierować nartami. Stałem i patrzyłem, nie umiając podjąć jakiegokolwiek mądrej decyzji, bo wycofać się wstyd, a zjechać straszno... Moi towarzysze naciskali na mnie, bo czas uciekał, więc w końcu ruszyłem naprzód – pewno z taką miną, jakbym już widział siebie turlającego się i połamanego – i w najwyższym napięciu, chyba cudem, zjechałem po tym zboczu. Za żadne skarby, nawet za Chiny Ludowe, nie powtórzyłbym tego eksperymentu, i to nawet wtedy, gdyby na dole czekała na mnie karetka pogotowia. Chyba że... (patrzę teraz w swoją lewą stronę)... chyba że ty sam, mój Aniele Stróżu – obejmując cię ramieniem – użyczyłbyś

mi swoich skrzydeł! Śmiejesz się: „Na szczęście nigdy nie musiałem tego robić. A teraz już na to nie licz. W końcu życie jeszcze byś mi je poszarpał i zabrudził, i co...? Niedługo uściśniemy się i rozstaniemy, nareszcie odpocznę od ciebie. Oby tylko Szefer, w nagrodę za zasługi przy tobie zdobyte, nie chciał mi przydzielić jeszcze lepszego gagatka, i to aż do końca świata! Niestety jeszcze na anielską emeryturę liczyć nie mogę...”

Chleb świętej Agaty a celnicy.

Podróżowałem także na wschód, i to w okresie, w którym panował tam jeszcze komunizm. Poszedłem za radą doświadczonych rodaków i w swoim bagażu ukryłem „chleb świętej Agaty”, to znaczy chleb, poświęcony w jej liturgiczne wspomnienie dla ochrony przed pożarem albo do użycia w charakterze „gaśnicy”, gdy wrzuci się go do ognia. Jak mi mówiono – także dla ochrony przed celnikami.

Najpierw miałem przygodę z radzieckimi celnikami w Brześciu, gdy jechałem pociągiem na odpust Matki Bożej Ostrobramskiej do Wilna. Z tryumfem wyciągnęli z mojej torby ogromną ilość medalików, różańców i obrazków i rozłożyli je na ladzie, którą dokoła obstąpili, czekając na naczelnika, gdyż to on najwyraźniej musiał zareagować na moją (ich zdaniem) bezczelność. Byłem w sutannie, więc łatwiej zdołałem go (czy ich) przekonać, że to nie na sprzedaż, tylko dla przyjaciół do rozdania w czasie odpustu, więc machnęli ręką i z tym wszystkim mnie przepuścili.

Po raz drugi miałem kontakt już tylko z jednym z nich, gdy pociągiem jechałem do Kijowa na uroczystości, związane z 1000-leciem Chrztu Rusi. Wtedy miałem plecak z podobnymi przedmiotami plus butelkę wina mszalnego, oczywiście także z chlebem św. Agaty. Plecak napełniłem używaną damską garderobą w taki sposób, że celnik, grzebiąc w nim gorliwie aż do dna, nie wymacał ani różańców, ani – co jest zastanawiające – nawet butelki z winem. Niedługo spotkam się w Niebie ze świętą Agatą i podziękuję jej za pomoc, i to okazaną nie tylko mnie, ale i tylu innym nieznanym mi ludziom, którzy dzięki niej śmielej przekraczali granicę, obstawioną strażnikami, celnikami, czerwonymi gwiazdami oraz sierpem i młotem... Oczywiście nigdy nie pomagała przemytnikom alkoholu i papierosów, bo na tym się nie zna.

Moc Różańca wypróbowana!

Wracałem do Polski pierwszym autokarem, jaki się w Medziugorju pojawił pod koniec wojny. Przybyłem tam z Włoch. Ziało grozą, strzały było słychać w Medziu często. Jechaliśmy nocą szosą nadmorską ze zgaszonymi światłami, ale zatrzymali nas żołnierze i dla naszego bezpieczeństwa kazali nam zboczyć na prom albo czekać do rana. Poprowadziłem Różaniec jako egzorcyzm p-ko duchom, zagrażającym nam drogę. Gdy go skończyliśmy, żołnierz machnął ręką: „Jedźcie prosto, droga jest bezpieczna!”

Wracałem do swojej parafii na Mszę świętą wieczorną, zupełnie odludzie, jeszcze daleko, a tu nagle samochód gwałtownie zahamował. Felgi kół gorące – blokada hamulców, i to tak silna, że małego Fiata nie ruszę i o centymetr. Siadłem za kierownicą i odmówiłem dziesiątek Różańca z części Bolesnej jako egzorcyzm, a potem powoli ruszyłem, coraz szybciej – i zmysłem nie wierzę: felgi zimne! Zdążyłem bez problemu.

Podejrzany w oczach Żydów.

Gdy po pięknej 10-dniowej pielgrzymce do Ziemi Świętej z Vassulą Ryden wracałem do Kraju, na lotnisku w Tel Avivie prześwietlono mój neseser, ale ponieważ byłem w koloratce, zwróciłem na siebie uwagę obsługi. Kazano mi wywalić wszystko na ladę i wygrzebano małą torebkę foliową z jakimiś ziołami. Chociaż mieli na niej swoją metkę – adres kibucu, w którym kupiłem tę przyprawę do zupy – zaczęli niuchać i węszyć, czy to nie są narkotyki! (tak myślę). Musiałem stać przy tej ladzie długo, może ze 40 minut, i wachać swoje brudne skarpetki, zanim nie rozpracowali tego „problemu” i mnie nie przepuścili. Gdy w międzyczasie pojawiła się para starszych Żydów, mających lecieć razem ze mną do Warszawy na osiedlenie w Polsce, ich bagaż na dwóch wielkich wózkach od razu skierowano do odprawy. Pokazano mi, kto rządzi tutaj i tam, w ich „Polin”.